

ARITON VESELINOVSKI

## Moje wspomnienia o Józefie Obrębskim i jego żonie Tamarze

**J**ózef Obrębski, jak również jego żona Tamara, pozostawili po sobie w Macedonii, przede wszystkim na Poreczu, dobre wspomnienia. Dlatego też do dziś ludzie pamiętają ich imiona i wspominają ich z sympatią. Dziś żyje już niewielu bezpośrednich świadków, ale ich opowieści o Obrębskich wciąż jeszcze krążą wśród Poreczan. Obrębski był znany we wsiach Porecza jako Josif (Józef) i był bardzo lubiany. Co ciekawe, cieszył się sympatią zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Takie przejawy akceptacji i gościnności ze strony kobiet były podówczas nadzwyczaj rzadkie. Był on przecież jednak cudzoziemcem, człowiekiem przyjeźdnym. Świadczy to więc o tym, że odznaczał się wyjątkowymi zaletami. Do ludzi odnosił się bardzo przyjaźnie, umiał ich ująć.

Trzeba dodać, że Porecze charakteryzuje się wyjątkową gościnnością. Mieszkają tu ludzie, którzy szybko zawierają przyjaźnie i potrafią o nie dbać, co zapewne wynika z faktu, że mieszkańcy Wołcza i Górnego Porecza stale dokądś wędrowali. Podczas tych częstych podróży, narażeni na niebezpieczeństwo, niepogodę i wszelkie niewygody, często byli przyjmowani przez napotkanych ludzi, w związku z czym chcieli potem odwdzińczyć się równie serdeczną gościnnością tym, którzy przybywali do ich wsi.

Obrębski był człowiekiem niezwykle pracowitym. Mieszkał w jednym z domów w Wołczu, u rodziny Krajczewskich. W domu tym gospodarzami byli Ciro i Kolo Krajczewscy. Odstąpili mu jedną izbę, skromną i niedużą; miejscowe domy miały najwyżej po dwa-trzy pomieszczenia. Choć była to liczna rodzina, zwolnili mu jedno z nich, by mógł się zatrzymać na czas swego pobytu. On zaś był w ciągłym ruchu. Obchodził 10–15 wsi Górnego Porecza, począwszy od Kosowa, Brestu, Trebowła, Zdunia, Górnego i Dolnego Botusza, po Rastesz, Zagrad, Bitowo i Wołcze. Zawsze przychodził we właściwym czasie na właściwe miejsce. Gdy tylko nadarzała się okazja, uczestniczył w każdym obrzędzie: czy to obchodzono we wsi jakieg

święto, urządzano zaręczyny czy wesele, rodziło się dziecko, były chrzciny — zawsze był obecny. Ponieważ był uczonym, najbardziej wykształconym człowiekiem w okolicy, ludzie darzyli go wielkim zaufaniem i wierzyli mu, tak więc niczego przed nim nie ukrywano, nie robiono tajemnic w rodzaju: „tylko niech on nie zobaczy”. Nawet w pewien sposób oczekiwano od niego pomocy. Kiedy ktoś umarł, Josif także był obecny, pośród swoich, by tak rzec, ziomków; przecież mieszkał z nimi w jednej wsi. Kiedy ludzie szli do młyna, szedł i on. Gdy należało za pomocą dźwigni podnieść kamień, też był przy tym. Kiedy zaczynali walić w kamień młotami, on również chwytął młot i przyłączał się do pracy. Ktoś rąbał drzewo, rąbał i on. Dosłownie wszystko chciał zobaczyć, wszystkiego spróbować. Interesowało go wszystko; wiązało się to z jego profesją. Był jej całkowicie oddany.

Starzy ludzie często opowiadali o pewnym wydarzeniu związanym z Josifem, kiedy wraz z Cirem, Kolem, Ristem i kimś jeszcze (wszyscy już dziś nie żyją) wybrał się na polowanie. Znaleźli wtedy małe wilczki, kilkudniowe czy kilkutygodniowe. Na prośbę Josifa jedno z tych szczeniąt zostawili przy życiu, a on zabrał je ze sobą. Przez cały czas, kiedy tu mieszkał, około siedmiu-ośmiu miesięcy, trzymał wilczka u siebie, aż ten wyrósł na całkiem sporego. Jakoś go oswoił. Ludzie we wsi, zwłaszcza stare kobiety, odnosili się do tej jego imprezy negatywnie, ponieważ dzikie zwierzę w domu postrzegano jako przekleństwo, mogło się przecież przez nie wydarzyć coś złego. Ale niezależnie od tych wierzeń i obaw wybaczano Josifowi; wilczek był jego towarzyszem do końca pobytu. Kiedy wędrował po wsiach, chodził ze swoim wilczkiem.

W domu oddziało go od współmieszkańców tylko jedno pośłanie i powiadają, że kiedy wszyscy już ułożyli się do snu i zasnęli, Josif zapalał lampę gazową i zasiadał do pisania. Potrafił niekiedy pracować do świtu. Robił selekcję i systematyzację notatek, które sporządził w ciągu dnia, podczas obrzędów i innych wydarzeń.

Latem 1969 roku, w sierpniu, przyjechała do Wołcza pewna kobieta w średnim wieku. Przyjechała z wiadomością. Skierowano ją do Rista (właściwie Arista), by ją u niego przyjęto i zatrzymano na tyle dni, ile będzie potrzebować. Kiedy tego wieczoru wróciłem do domu, zobaczyłem kobietę, która — od razu można było poznać — nie pochodziła stąd. Okazało się, że to żona Josifa, Tamara Obrębska. Pomyślałem, że przyjechała, by odświeżyć wspomnienia. Po kilku rozmowach zaczęliśmy się jako tako rozumieć, mówiąc częściowo po polsku, częściowo po francusku. Dzięki temu przez następne dziesięć dni mogliśmy dość dobrze konwersować, ponieważ uczyłem się kiedyś francuskiego.

Tamara interesowała się dosłownie wszystkim; chciała wiedzieć wszystko, co dotyczyło działalności jej zmarłego męża, dokąd wędrował i po co. Zwróciłem uwagę, że ją też ciekawią nasze obyczaje. Gdy trzeba było iść na cmentarz, szła wraz z kobietami ze wsi; wtedy odbywała się *sława*, w dniu Bogurodzicy. Stale nosiła ze sobą aparat. Fotografowała wszystko, co zobaczyła i co ją zainteresowało. Ciągłe też pisała. I była osobą bardzo komunikatywną.

Ogromnie chciała dokończyć pracę Josifa i wydać zebrane przez niego materiały. Odczuwała potrzebę, by wypełnić tę jego wolę, jego testament. Stale przeglądała zapiski i szukała ludzi, których imiona były tam zanotowane: „Gdzie jest Kolo? Gdzie jest ten? Gdzie jest tamten?”. Byli to znajomi Obrębskiego. Jeśli ktoś z nich już nie żył, nawiązywała kontakt z jego rodziną, żoną, dziećmi. Nie było domu, do którego by nie weszła i którego by nie sfotografowała. Pewnego razu ktoś zwrócił się do mnie: „Słuchaj”, mówi, „ona jest agentem CIA, wszędzie zagląda. Powinniśmy jej tego zabronić”. — „Ejże, słuchaj ty”, mówię, „jakże ta kobieta może być agentem, co mogłaby znaleźć tu u nas w Wołczu? Przestań, nie ośmieszaj się! Niech sobie robi kobieta, co chce, niech dokończy swoją pracę!”.

Zatrzymała się u nas jakieś trzy tygodnie. W tym czasie otrzymałem nakaz pracy w szkole im. Łaza Trpowskiego w Skopju. To był 28 sierpnia 1969 roku; musiałem się stawić do pracy. Tamara pojechała razem ze mną. Z Pekliszta przez góry dotarliśmy ciężarówką do Gostiwaru, a z Gostiwaru do Skopja. Ulokowaliśmy się w jednym z hoteli w pobliżu starego dworca kolejowego. Zdałem sobie sprawę, że bardzo się ze mną żyła. Interesowało ją, jak będę pracował w Skopju, podczas gdy żona została w Wołczu. Moja żona też była nauczycielką, już nie żyje. „Jak to będzie”, dopytywała, „ty w Skopju, a ona w Gostiwarze z dwójką dzieci?”. Interesowała się zwyczajnie, po matczynemu. Byłem zdziwiony, jak szybko udało jej się zbliżyć do mojej żony i dzieci, a także do innych. „Zaprowadź mnie do swojego mieszkania”, mówi, „chciałabym zobaczyć, jak mieszkasz!”. Ja wtedy znalazłem mieszkanie w dzielnicy Dzorcze Petrow, natomiast szkoła znajdowała się w części miasta Karposz IV. Tamara weszła do pustego pokoju i stwierdziła: „Czekaj, gdzie ty tu usiądziesz, gdzie będziesz pracował? Przecież musisz pracować, musisz czytać!”. Ja na to: „Dam sobie jakoś radę!”. Poszliśmy do najbliższego sklepu meblowego: „Prezent”, mówi, „ode mnie, stół i cztery krzesła”. Kiedy usiłowałem protestować, powiedziała tonem nieznośnym sprzeciwu: „Posłuchaj, to ja jestem gospodarzem swojego portfela. Jeśli nie przyjmiesz tego, będzie mi bardzo przykro”. Nie znalazłem słów, by odpowiedzieć. Podziękowałem jej. Nigdy tego nie zapomnę.

Przed wyjazdem do Skopja zdarzył się ciekawy wypadek. Miałem trójnożny stołeczek. Zrobiono go, gdy urodził się mój najstarszy brat, w 1920 roku. Jak opowiadał ojciec, Josif bardzo często i z przyjemnością na nim siadywał. Tamara zainteresowała się nim, zapytała, czy może wziąć stołeczek na pamiątkę. Nie było żadnego problemu, by go jej podarować. Musieliśmy na koniu przewieźć wszystkie rzeczy do Pekliszta, by stamtąd ciężarówka przewożąca drzewo przetransportowała je do Gostiwaru. Stołeczek wrzucono na górę, na bagaż. Przywiązaliśmy go na chybcika, nie chcąc się spóźnić; gdyby nie udało nam się złapać ciężarówki, Tamara musiałaby czekać do następnego dnia. Mój śp. ojciec prowadził konia, a my szliśmy przodem. Gdy dojechaliliśmy do Pekliszta, okazało się, że stołeczek nie ma. Droga, którą szliśmy, jest wyboista, stołeczek, czort wie jak, odczepił się i wypadł. Znaleźliśmy go dwa tygodnie później, leżał w krzakach. Wiązanie poluzowało się i stołeczek spadł z grzbietu konia. Tamarze

było bardzo żał zguby. Chciała, byśmy wrócili i przełożyli podróż do Skopja, ale ja musiałem tam dotrzeć, ponieważ 30 sierpnia miałem umówione spotkanie w szkole. Musiałem na nim być.

Odjechała pociągiem do Belgradu, a stamtąd przez Warszawę wróciła do Ameryki. Obiecała, że znów się zobaczymy.

I rzeczywiście, trzy lata później, trzy i pół, jakoś tak latem, zobaczyliśmy się znowu. Nie w Wołczu, ale w Gostiwarze. Ktoś zadzwonił do drzwi. Patrzę, a to Tamara. Ale teraz byliśmy już bliskimi przyjaciółmi. To spotkanie było naprawdę serdeczne i miłe. Ucieszyłem się i ona także. Zobaczyła całą moją rodzinę, dzieci już były całkiem podrośnięte. W moim synu Błażejcu wprost się zakochała. A ponieważ jako dziecko cały czas czymś stukał, mówiła o nim „mój inżynier”. Została w Gostiwarze trzy tygodnie. Potem wyjechała do Strugi na sympozjum języka macedońskiego, zorganizowane przez Uniwersytet; jednym z wykładowców był tam nieżyjący już dziś Božidar Widoeski. Zaproponowałem, by zatrzymała się u mojego przyjaciela we wsi Drasłajca, Kira Miłoszewskiego. Człowiek ten był moim przyjacielem, dziadkiem mojego kolegi i byłem pewien, że przyjmie ją u siebie. Co więcej Kire biegle mówił po angielsku, ponieważ długi czas mieszkał w Ameryce.

Tamara bardzo szybko nauczyła się macedońskiego. Nie przesadzę, jeśli powiem, że opanowała język w 60 procentach.

Zanim wyjechała do Ochrydy, ciągle mi powtarzała: „Schody są bardzo niebezpieczne dla dzieci, spadnie mój inżynier i potłucze się!”. Mieliśmy nowy dom i wiele rzeczy było w nim jeszcze niedokończonych. W tym okresie nie miałem dość środków finansowych, żeby zabezpieczyć schody. Powtarzała mi to po trzy razy dziennie. Przed wyjazdem do Ochrydy zapytała: „Czy są tu jacyś fachowcy, którzy mogliby zrobić poręcz?” — „Są, mówię, czemu nie?” — „A znasz kogoś takiego?” — „Tak, sąsiad robi takie rzeczy”.

Natychmiast poszła do sąsiada. Ten powiedział, ile to kosztuje. Dała mu pieniądze, o nic mnie nie pytając. „Wyjeżdżam na dziesięć dni do Ochrydy, jak wrócę, schody mają być zrobione”.

To także był prezent od Pani Tamary.

Kiedy była w Drasłajcy czy w Ochrydzie, widziała tam mosiężne dzwonki na drzwiach wejściowych, które pobrząkują, kiedy otwiera się drzwi. Po przyjeździe do Gostiwaru powiedziała: „Ariton, musisz koniecznie znaleźć dla mnie taki dzwonek. Mam dom w Nowym Jorku i kiedy ktoś będzie otwierał furtkę, chciałabym, żeby dzwonek pobrząkiwał i przypominał mi was w Macedonii”.

Gdybym był w Wołczu, znalazłbym setkę takich. Przyczepia się je kozom, pamiętam, jak wisiały na ścianie. Ale tu gdzie je znajdę? Przeszedłem dosłownie cały Gostiwar i na końcu u jednego pastucha znalazłem jeden, zardzewiały i poczerniały. Wyczyściłem go kwasem i podarowałem jej; był średniej wielkości. Dałem jej dzwonek, a ona mi aparat fotograficzny. Do dziś dnia przypomina mi on Panią Tamarę. Zachowaliśmy go jako rodzinną pamiątkę.

Do Tamary przez cały czas zwracaliśmy się *per* Josifica. Wszystkie kobiety i mężczyźni w Gostivarze nazywali ją Josificą. Nikt nie używał jej właściwego imienia — Tamara. W naszym regionie jest zwyczaj, że kobietę nazywa się imieniem odmeżowskim. Jej mąż Josif, zatem ona — Josifica. Sprawiało jej przyjemność, że tak się do niej zwracamy, z chęcią na to przystawała. Podczas jednej rozmowy powiedziała mi: „Ariton, twoje małżeństwo z Marą przypomina mi mój związek z Josifem”. — „Dlaczego?”, spytałem. — „Bardzo, bardzo szczęśliwe, odparła, miałam małżeństwo. Szacunek, jakim darzyłam Josifa, każe mi teraz dokończyć jego dzieło”.

Niestety, podczas tego drugiego pobytu miała już mocno nadwątłone zdrowie. Rok później zmarła. Dowiedziałem się o tym od śp. profesora Bożidara Widoeskiego. Poczułem ból i smutek, ponieważ czekałem na jej ponowny przyjazd. Tak się umówiliśmy.

*Tłumaczyła Magdalena Bogustawska*

Tekst oryginalny: Veselinovski, Ariton, (2002). Moite sekavania za J. Obrebski i negovata sopruga Tamara. W Tanas Vražinovski (Red.), *70 godini od istražuvanjata na Jozef Obrebski vo Makedonija: Međunaroden naučen sobir, Samokv, 14–16 septemvri 2001 // 70 years from the research of Josef Obrebski in Macedonia: International scientific assembly. Samokov, 14–16 september* (ss. 227–231). Prilep: Institut za Staroslovenska Kultura.